Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK IV WARSZAWA, WRZESIEŃ 1929 R. Nr 9

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: Ks. St. SKIERSKI
ADRES REDAKCJI:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3. Tel. 338-32.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20. Tel. 46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. *O. Stockmayer.* Zakon wolności 121
2. *P. Hulka-Laskowski.* Indyferentyzm czy rezygnacja 122
3. *Prof. K. Serini.* List do Filipjan (d. c.). 125
4. *Kazimieuz Kosiński.* Jurysdykcja duchowna na sejmach egzekucyjnych 1562 — 1564. 127
5. *Romuald Balawelder.* Smutki i radości Pompejańskie 131
6. *L. Rygier.* Na marginesie „Błogosławieństwa ziemi" Hamsuna . . . 134
7. — *S* — Wiadomości z Kościoła i o Kościele 135
8. Porządek nabożeństw 136

ROK IV WARSZAWA, WRZESIEŃ 1929 R. Nr 9

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

ZAKON WOLNOŚCI.

Jakób 1_{25}: „Ktoby wejrzał w zakon doskonały, w zakon wolności i zostawał w nim, ten nie będąc słuchaczem zapominającym, ale wykonawcą uczynku, błogosławiony będzie w działaniu swojem".

O Mojżeszu czytamy (2 Mojż. 3), że gdy pewnego razu pasł owce u góry Horeb, ujrzał krzak gorejący ogniem, który jednak się nie spalał. Mojżesz zdecydował się odrazu podejść bliżej, aby zbadać przyczynę dziwnego zjawiska. „Pójdę teraz, a oglądam to widzenie wielkie". A Bóg, widząc, że Mojżesz podchodzi patrzeć — o b j a w i a się Mojżeszowi.

Bóg i nam na drogach żywota ukazuje w oddali święte, niebiańskie widzenia w czasie, gdy my stada pasiemy, pracujemy, czy śnimy. Bóg, który nam nic gwałtem nie narzuca, i w danym wypadku ukazuje nam w oddali obraz Chrystusa, który dojrzeć musimy, jeśli tylko chcemy. Błogosławieni, którzy obraz ten spostrzegają, i przed nim cichną! Przystąp bliżej do obrazu Baranka Bożego ty biedna, związana w sobie duszo!

Gdy widzenie takie przypadnie w udziale szczerym i prawdę miłującym duszom, wówczas wszelkie zasłony Słowa Bożego opadają i następuje „wejrzenie w zakon wolności"!

W ustępie listu Jakóba 1_{25} ukazuje nam tekst nasz obraz człowieka, który skręca z swej drogi, nachyla się głęboko, aby spojrzeć aż do dna. Mimowoli przypomina nam się ów miłosierny samarytanin z Ewangelji, który nie mógł przejść obok poranionego obojętnie, ale zeszedł prędko z drogi swej, aby porzuconemu przez zbójców okazać pomoc. Tak i Mojżesz skręcił w bok z drogi swojej, pragnąc się przekonać co to znaczy, że krzak gorzał a nie spalał się. Tak samo czynią i ci, którzy istotnie z Boga są zrodzeni, którzy pragną, aby Pan przy nich pełny owoc swej męki i śmierci zebrał, którzy się za świętych sami nie uważają i sobie samym podobać się nie pragną. Nie chcą oni zatrzymywać się w pół drogi i nie od dziś boleją nad tą, czy inną plamą na sumieniu swojem. Myśli o tej plamie pozbyć się oni nie mogą i poczynają przeglądać się w zakonie doskonałym i nachylają się nad nim, aby sięgnąć wzrokiem ducha w głębie zbawienia, aby zajrzeć aż do dna.

Jakże chętnie człowiek „wgląda" w inny zakon, w zakon grzechu i jak mocno związany jest pętami grzechu! Dlatego właśnie przyjść musiał ktoś mocniejszy i inny zakon. Ten inny zakon, zakon ducha i żywota uwolnił nas z oków grzechu, wiążąc nas do krzyża Chrystusowego. Czego zakon dokonać nie mógł, to uczynił Bóg, i dzięki temu my możemy zaprzeć się ciała swego, życie swe cielesne przybić do krzyża tak, aby sprawiedliwość zakonu, sprawiedliwe żądania zakonu, które się na cielesności naszej załamały, wykonać się mogły w nas, którzyśmy się Jezusowi oddali, i przez Ducha Bożego przeklętymi uczynić dozwolili, dla których Jezus stał się wszystkiem. Tak, musimy się pochylić i „wejrzeć" w on doskonały zakon wolności i „zostawać w nim", jak dosłownie w tekście czytamy.

Zakon ducha, zakon żywota! Czyż może istnieć wyższa oznaka majestatu istoty naszej ludzkiej nad tą, że się jest człowiekiem, który dla Boga żyje, którym Bóg bezwzględnie dysponować może, i który tem samem wolny jest od wiążącej go potęgi przyzwyczajeń cielesnych, od despotycznej tyranji niewolniczych wpływów tego świata? Prawdziwie wolnym jest tylko ten, którego Syn Boży wolnym uczynił, a On czyni nas wolnymi, wprowadzając nas w nowy organizm, w organizm ciała swego. To jest to ciało, które Mu Duch Ś-ty w mocy swej buduje na fundamencie jego na drzewie przekleństwa ofiarowanego ludzkiego ciała, które Chrystus przyjął na siebie, abyśmy nie byli już niewolnikami namiętności naszej starej, upadłej i grzesznej natury, abyśmy podniesieni być mogli do stanu szlachectwa narzędzi Ducha Bożego.

Tak jak członki ciała mego, język mój, którego używam do mówienia, i wszystkie inne członki ciała mego są woli mojej posłuszne, tak my dzieci Boże, przez Boga uświęceni, posłuszni jesteśmy ze wszystkiem, czem jesteśmy i co posiadamy, naszemu Bogu i Słowu Jego. A gdy ciało nasze, nasza stara natura poczyna się wzdragać, sprzeciwiać, nie pozwala nam w pełni używać wolności synostwa naszego u Boga, wówczas apelujemy do onej wiecznej ofiary na Golgocie! Tam przez krew Syna Bożego wykupieni zostaliśmy z mocy szatana i grzesznego ciała naszego, z mocy naszej natury, naszego adamowego pochodzenia, z mocy wpływów świata, od grzesznych przyzwyczajeń w myślach, słowach i uczynkach!

Kogo Syn Boży wolnym uczynił, ten jest istotnie wolnym; każda chwila cichej modlitwy w życiu takiego wolnego człowieka jest przyspażaniem tej wolności; człowiek kładzie się wówczas jakgdyby na ołtarzu Bożym, a Bóg poświęca s o b i e wówczas nasze członki, naszą całą egzystencję, wiążąc nas z Chrystusem, jako nowym zupełnio elementem życia naszego, tak, że, jak usta moje, wargi moje poruszają się podświadomie, woli mojej będąc posłuszne, tak i ów wolny człowiek, posłuszny wewnętrznemu zakonowi żywota nowego stworzenia, głowie ciała Chrystusowego bezwzględnie do rozporządzenia się oddaje.

O. STOCKMAYER.

P. Hulka Laskowski.

INDYFERENTYZM CZY REZYGNACJA.

Sprawa indyferentyzmu religijnego jest obecnie tak aktualna, że posiada już własną obszerną literaturę. Specjaliści doszukują się przyczyn zobojętnienia religijnego w szerokich masach i zastanawiają się nad środkami, które mogłyby doprowadzić do ożywienia życia religijnego. Napotykają znaczne trudności zarówno przy poznawaniu przyczyn indeferentyzmu jak i przy szukaniu środków zaradczych. Przedewszystkiem należałoby zdać sobie sprawę z tego, czy obojętność religijna jest wyniosłem lekceważeniem prawd religijnych, pogardą dla tego wszystkiego, co się z religją wiąże, czy też mamy tu do czynienia z rezygnacją nie pozbawioną smutku i żalu. Lekceważenie byłoby aktem pychy i zarozumiałości, rezygnacja bywa wyrazem poczucia bezsilności. O cóż więc chodzi? O indyferentyzm, czy o rezygnację?

Psychologja religji otworzyła nam oczy na fakt, że do spraw religijnych inaczej odnosi się dziecko, młodzieniec, mąż dojrzały, starzec. Istnieją też różnice między religijnem odczuwaniem i myśleniem mężczyzny i kobiety. Dla dziecka religja jest nieokreślonem przedłużeniem władzy i autorytetu moralnego rodziców, młodzieniec wyłamujący się z pod władzy rodziców, przebywa najczęściej także kryzys religijny i nierzadko rozchodzi się z religją tak

samo, jak rozchodzi się z domem ojczystym. Ale przychodzi przełom w życiu męża dojrzałego, gdy myśli i uczucia zawracają ku szczęśliwym dniom dzieciństwa i gdy pod wpływem rozczarowań moralnych i umysłowych religja staje się nanowo aktualną. Faustyczne powątpiewania o nieomylności wiedzy, budzą myśli, czy w religji nie jest jednak zawarta ta prawda, ktorej daremnie poszukujemy w wiedzy. Doświadczenia starca wyrażają się w powściągliwości sądów. Gdy młodzieniec skłonny bywa do szybkich negacyj, starzec wie z doświadczenia, że sąd ludzki jest omylny i że pewność sądów bywa aż nazbyt często brakiem solidnej wiedzy. Doświadczenia całej ludzkości i jej tysiącletnich dziejów, wyrażone w religji, stają się najłatwiej udziałem spokojnego starca. Kobieta matka i wychowawczyni przy swojem ciężkiem zadaniu potrzebuje daleko więcej oparcia w religji, niż mężczyzna wojownik, rzemieślnik, polityk, myśliciel.

Zgodnie z temi doświadczeniami psychologicznemi widzimy, że u dziewcząt życie religijne potężnieje wtedy właśnie, gdy u młodzieńców przechodzi ono kryzys przeczenia, u ojców opiera się ono na myśli badawczej, gdy matki wypełniają je uczuciem miłości dla przodków i potomstwa, a starcy odwracając oczy od życia, spoglądają poza nie i starają się zrozumieć jego tajemnice w perspektywie wieczności. Temperament i usposobienie, wychowanie i wykształcenie, tryb życia i warunki istnienia, wszystko to wpływa mniej lub więcej na życie religijne, potęgując je, lub też zależnie od okoliczności wywołując kryzysy przemijające lub trwałe. Ale zdaje się, że indyferentyzmu zasadniczego, to jest obojętności wobec zagadnień źródeł i ujść życia i jego przeznaczeń, wobec istnienia Boga, poznawalności Jego woli oraz skutków nieposłuszeństwa wobec tej woli, — niema. Trudno wyobrazić sobie człowieka normalnego, który byłby tak dalece bezinteresowny wobec wiekuistej szczęśliwości lub wiekuistego potępienia, iż nie troszczyłby się o nie. Asceci i pustelnicy pierwszych wieków chrześcijaństwa są zjawiskiem zgoła normalnem i zrozumiałem. Człowiek woli stracić kilkadziesiąt lat wątpliwych przyjemności życia ziemskiego, niż zaryzykować utratę życia wiekuistego. Toteż to, co nazywamy indyferentyzmem religijnym idzie zawsze ręka w rękę z niewiarą, lub przynajmniej ze sceptycyzmem. Indyferent nie mówi, że nie chce życia wiekuistego i że niem gardzi, nie twierdzi, że woli własnej daje pierwszeństwo przed wolą Boga, ale z bolesną nieraz melancholją wyznaje, iż nie potrafi wyobrazić sobie dalszego niezmiennego i stałego trwania świadomości ziemskiej, skoro w ciągu jednego życia skutkiem przemian życiowych, chorób i różnych wstrząśnień jedna osoba bywa sukcesją tylu różnych osób. Jak niewiele istnieje wspólnego między małym chłopczykiem pasącym owce a mędrcem, którego chciwie słuchają miljony! Imię to samo, ciągłość świadomości niewątpliwa, ale co za różne postaci! Fizjologja powiada, że z chłopca nie pozostało nic, bo przemiana materji dokonywa się w ciągu paru lat całkowicie; przemiana świadomości jest także zupełna. Śmierć poprzedza najczęściej starość, niedołęstwo, choroba. Jeśli życie wiekuiste jest radykalną przemianą tego wszystkiego, co stanowi życia radość i mękę, czyż możliwa jest ciągłość świadomości? Podobne wątpliwości wypowiada sceptyk co do poznawalności Boga i Jego woli. Nie gardzi więc, ale czuje się bezsilnym wobec wielkości zagadnienia i z wielkim smutkiem rezygnuje z rozwiązania męczących go zagadek. Mamy tu do czynienia z konfliktem wiary z wiedzą.

Istnieją jeszcze inne konflikty, a śród nich wysuwa się na czoło sprawa społeczna w swojem powikłaniu z religją. Chrześcijaństwo jako realizowanie królestwa Bożego jest rozwiązaniem sprawy społecznej. Śród braci w Chrystusie nie może być nędzarzy opuszczonych w niedoli i pozostawionych samym sobie. Nędzarz bezrobotny i bezdomny, nie mający kęsa chleba dla dzieci i żony, w samym sobie widzi zaprzeczenie prawdziwości słów o chrześcijańskiem braterstwie i miłości. Historycy kościoła opowiadają o tych masach średniowiecznych robotników, którzy domagali się urzeczywistnienia obietnic królestwa Bożego, a nie mogąc się go doczekać, występowali wrogo przeciwko kościołowi. Działo się to w czasach, gdy kościół stał u szczytu potęgi jako organizacja hierarchiczna. Dzisiaj skutkiem masowego zubożenia ludzi pracy ewangelja miłości i miłosierdzia spotyka się z najboleśniejszem przeczeniem tych, którzy najserdeczniej wierzyć pragną w jej rzeczywistość. Niestety, już dawno temu zaczęto religję traktować wyłącznie jako centralny filar porządku polityczno-społecznego. I dzisiaj obrońcy religji nie mówią o odrodzeniu moralnem jako warunku zbawienia wiekuistego, ale o tym porządku społecznym, jaki buduje się na podstawach religijnych. Święta groza objawienia woli Bożej śród gromów i błyskawic przemienia się w coś powszedniego i konwencjonalnego, co dla sceptyka może jest prawdą, a może nią nie jest, ale jest w każdym razie wyrazem woli pewnych ludzi. Fryderyk Heiler w swojem wspaniałem dziele o katolicyzmie przytacza głos pewnego nauczyciela dogmatyki katolickiej z uniwersytetu w Innsbrucku, który wykłady swoje kończył tak: „Oto, moi panowie, jest nauka kościoła katolickiego. Czy odpowiada ona rzeczywistości, tego nie wiem; być może, iż wszystko jest *„totaliter aliter"* (zgoła inaczej). Tutaj mamy jeden z przykładów konwencjonalnego traktowania religji. Istnieją inne.

Balzac wyraził się przy sposobności o religji tak: „Religja będzie zawsze koniecznością polityczną. Któż podjąłby się rządzenia rezonerami? Aby odebrać im możność rezonowania, trzeba im narzucić sentymenty. Przyjmijmy więc

religję katolicką ze wszystkiemi jej konsekwencjami. Jeśli chcemy, aby Francja chodziła na mszę, czyż nie powinniśmy chodzić na nią sami? Religja jest więzią zasady zachowawczej, która pozwala bogatym żyć spokojnie. Religja jak najściślej związana jest z własnością". Rozwiązanie sprawy rzymskiej przez Mussoliniego miało na celu uczynienie z religji taniej policji, która przenikałaby tam, gdzie nie może przeniknąć policja faszystowska. Pisma faszystowskie nie tają się z tem wcale. Jeśli jeszcze dodamy, że dla wielu pięknoduchów religja jest wyłącznie czynnikiem estetycznym, to będziemy mieli obraz religji czysto konwencjonalnej, czyli czegoś dowolnego, co posiada wartość nie samo w sobie, ale otrzymuje ją dopiero od ludzi, to jest od ich takiej lub owakiej postawy.

Od niepamiętnych czasów czynione były próby stworzenia religji racjonalnej lub sentymentalnej, zależnie od nastrojów i czasów, ale żadna religja konwencjonalna nie zdołała utrzymać się przy życiu. Tęsknota religijna to żywioł ducha i temu żywiołowi musi odpowiadać żywioł inny, odwieczny i powieczny. Doświadczenie dziejowe uczy, że im wyższe były wymagania danej religji pod względem moralnym i materjalnym, tem liczniejszych miała ona wyznawców i tem wyżej stali ci wyznawcy pod względem radykalizmu etycznego. Gdy zaś religja zaczynała czynić ustępstwa i wdawać się w kompromisy z czynnikami sobie obcymi i przeciwnymi, nadchodził jej upadek. Chrześcijaństwo przyszło do ginącego świata jako wieść o zbawieniu i za warunek zbawienia stawiało konieczne zerwanie ze światem, wyrzeczenie się samego siebie. Ta bezwzględność chrześcijaństwa była jego siłą i pociągnęła ku niemu miljony wyznawców, gotowych wyrzec się własnego życia dla idei.

Dzisiaj polityka zbyt często cynicznie wypowiada się o religji jako o narzędziu swojem. Polityk sam rozgrzesza się bardzo łatwo od obowiązków religijnych, ale chce, aby ci, którzy mają podlegać jego kierownictwu, byli religijni, to znaczy, spokojni, zadowoleni, ustępliwi. Już hr. Wojciech Dzieduszycki, jeden z najwybitniejszych politycznych pisarzy polskich, zwrócił na ten fakt uwagę i dodał, że masy ludowe zdają sobie sprawę z tej roli, jaką religja spełnić ma względem nich i odwracają się od niej z wielką nieufnością jako od narzędzia panowania klasowego. Rzecz prosta, że tam, gdzie dociera świadomość o umysłowym konwencjonalizmie religijnym, powaga religji znika. Nie jest ona już warunkiem zbawienia wiecznego, ale czemś zgoła dowolnem, co w najlepszym razie może się w skromnej mierze przyczynić do poprawienia bytu materjalnego.

Niema tu więc indyferentyzmu religijnego, jakiegoś wyniosłego lekceważenia religji i prawd Bożych, ale jest rezygnacja z tego konwencjonalizmu, jaki cechuje dzisiejszą religję w polityce, literaturze, nauce. Życie bez wiary w wyższe przeznaczenie byłoby bezsensownem. Wszyscy to czują a najlepsi myśliciele poszukują sensu życia w jego boskich przeznaczeniach. I z tego punktu widzenia walka z indyferentyzmem religijnym przedstawia się raczej jako walka z rezygnacją, to jest z onieśmieleniem duszy i z niemocą serca. Człowiekowi dzisiejszemu drogę do wiary zagrodził krytycyzm naukowy i utylitaryzm polityczny. Zmęczony człowiek powojenny ma dość własnych wątpliwości i nie pragnie tego krytycyzmu historyczno-religijnego, jaki trafiał nawet do szerokich mas w postaci popularno-nakowych broszur religjoznawczych. Można powiedzieć, że wiedza onieśmieliła wiarę w sercach ludzkich i że trzeba te serca nanowo ośmielić.

Oczywiście, powstaje pytanie, w jaki sposób uczynić to należy. Wiedza dyskredytowała religję, częstokroć świadomie i rozmyślnie. Czy religja ma dyskredytować wiedzę, aby podnieść własne znaczenie? Sądzimy, że nie. Wystarczy zastanowić się nad znaczeniem wiedzy z jednej strony a religji z drugiej, aby zdać sobie sprawę, że wiara religijna jest intuicyjnem oglądaniem tego, czego wiedza odsłonić nam swemi kategorjami nie może. Wiedza wysnuwa wnioski z przesłanek pracowicie zbieranych, podczas gdy wiara wyprzedza wszelką wiedzę. Między atomem a kosmosem istnieją zadziwiające podobieństwa i dlatego przy poszukiwaniu prawdy wolno posługiwć się analogjami. Naprzykład w chemji nie wszystkie pierwiastki są już odkryte, ale wszystkie są doskonale znane. Chemik wie, że pewien nieodkryty jeszcze pierwiastek, tworzący ogniwo między dwoma pierwiastkami znanemi, posiada takie a takie matematycznie ściśle wymierne właściwości i ani przez myśl mu nie przejdzie wątpić o istnieniu tego pierwiastka. Może się zdarzyć, że takiego pierwiastka niema na ziemi, ale gdzieś we wszechświecie znajduje się napewno. Nasze poznanie umysłowe zdystansowało poznanie intuicyjne; dajemy pierwszeństwo temu, czego możemy dotknąć spojrzeniem i rękoma, co możemy zważyć i zmierzyć. Ale właśnie wiedza jest jakby przeczuciem dopiero tego wszystkiego, czego nawet o materji jeszcze nie wiemy, ale czego się jasnowidzeniem domyślamy. Jednym z postulatów życia duchowego, niemal aksjomatem, jest idea sensu życia. Otóż w ramach życia ziemskiego, nawet najszczęśliwszego, takiego sensu nie dostrzegamy. Choroba i śmierć były i będą zawsze odczuwane jako coś nienaturalnego i bezsensownego, co zakłóca porządek natury. I ten najgłębszy instynkt życia wyprowadza nas daleko poza szranki życia ziemskiego. Nasza wiedza bezpośrednia, czyli intuicyjna, nietylko, że nie jest gorsza od wiedzy pośredniej, czyli tych ogniw, które łączą przyczynę ze skutkiem, ale jest niezawodnie od niej wyższa.

Tu jest temat dla wielkiego myśliciela, który genjuszem swoim mógłby odsłonić oczom ludzkości niespodziewane perspektywy. I tu jest po-

le dla działacza religijnego. Na tak zwanych indyferentów nie należy spoglądać jako na ludzi dufnych i zarozumiałych, którzy gardzą poznaniem duchowem, intuicyjnem. Raczej należy spojrzeć na nich jako na ludzi zrezygnowanych, nie mających odwagi wierzyć, chociaż wiara religijna jest dla nich potrzebą mocną i żywą. Zastraszyła ich wiedza swoim sceptycyzmem i krytycyzmem, zniechęciła polityka, czyniąca z religji narzędzie panowania jednych nad drugimi. Pozyskać ich dla życia religijnego może tylko żywy człowek i jego przykład. Zdarza się, że z upatrą wytrwałością opieramy się pewnej idei, co więcej, jesteśmy do niej tak uprzedzeni, iż nie dopuszczamy myśli, iż moglibyśmy stać się kiedykolwiek jej zwolennikami. Lecz oto spotykamy człowieka dobrego, szlachetnego, który pozyskuje nasze serce. Darzymy go zaufaniem i miłością, cieszymy się jego przyjaźnią i właśnie gdy przywiązujemy się do niego nadobre, dowiadujemy się najnieoczekiwaniej, że ten wyjątkowo kochany człowiek jest zwolennikiem niesympatycznej dla nas idei. Cóż się dzieje? Oczywiście, że nie odwracamy się od niego, nie odrzucamy jego przyjaźni, ale przeciwnie, cenimy go tem wyżej. Jednocześnie zaczynamy interesować się jego ideą, rewidujemy swój własny do niej stosunek i jeśli może nie stajemy się jej zwolennikami i krzewicielami, to w każdym razie przestajemy spoglądać na nią z dawnem uprzedzeniem.

Niema indyferentyzmu religijnego i niema nawet rezygnacji, ale jest człowiek indyferentny lub zregyznowany. Z tym człowiekiem nie może się zetknąć abstrakcja wiary, ale ma z nim do czynienia człowiek wierzący i ten właśnie człowiek wierzący całem swojem postępowaniem i postawą swoją może rozproszyć liczne uprzedzenia i pobudzić do zrewidowania dawnych poglądów na wiarę religijną. Niechże działacze religijni wiedzą, że niema na świecie tylu indyferentów, którzy gardziliby religją, ilu jest zrezygnowanych, onieśmielonych, zniechęconych. Zbliżać się do nich należy nie ze słowem przygany i strofowania, ale z życzliwością i dobrocią. Kto zaś chce pozyskać ludzi dla wiary religijnej i tego wszystkiego, co ona daje, winien stanowczo i zdecydowanie występować przeciwko wszelkiemu klerykalizmowi, to jest nadużywaniu religji dla celów przyziemnych. Klerykalizm to największy wróg religji. On właśnie odpycha i odstręcza od religji ludzi szlachetnych i czystych, ale nie umiejących odróżnić czystą i wzniosłą ideę religijną od tych, którzy jej nadużywają do celów obcych religji. Bezwzględnych indyferentów religijnych na świecie jest niewielu a zrezygnowanych i smutnych pozyskać można dla religji tylko dobrocią miłością i przyjaźnią.

PROF. K. SERINI.

LIST DO FILIPJAN.

(d. c.)

RZECZOWOŚĆ.

List do Filipjan 1:12—18. *A chcę, bracia, abyście wiedzieli, że to, co się ze mną dzieje posłużyło raczej ku rozkrzewieniu Ewangelji, tak że więzy moje dla Chrystusa stały się wiadome w całym pałacu i wszystkim innym. I większa część braci w Panu, nabrawszy odwagi z powodu więzów moich, zaczęli z większą pewnością bez bojaźni głosić Słowo, jedni wprawdzie i przez zazdrość i kłótliwość, drudzy zaś i w dobrej myśli opowiadają Chrystusa: tamci przez kłótliwość opowiadają Chrystusa nieszczerze, mniemając, że przydają ucisku więzom moim, ci z miłości, wiedząc, żem postawiony ku obronie Ewangelji. Ale cóż? w każdym razie, czy obłudnie czy szczerze, Chrystus jest opowiadany.*

Okres powojenny zrodził szereg dążności, instytucyj, postanowień i prac zjazdowych o charakterze międzypaństwowym i międzynarodowym. Ta międzynarodowość, której celem ostatecznym ma być pacyfikacja świata, napotyka na niezwalczone przeszkody ze strony wybujałego nacjonalizmu, wynoszącego własny naród pod niebiosa, w innych, szczególnie zaś we wrogich, upatrującego jedynie zbiór wad. Przedmiotem złośliwych napaści stają się te narody, które powstały do nowego życia państwowego, w pierwszym rzędzie Polacy. Dlatego słyszymy, z ust ludzi, którzy winni posiadać nieco bezstronności, sąd, że Polacy nie posiadają żadnej cnoty i żadnej zalety z wyjątkiem jedynej — rozpalonego do czerwoności nacjonalizmu; za jedną zaś z największych wad narodowej duszy polskiej uważają jej rzekomą subjektywność niepohamowaną, z której płynąć mają zmienność, swarliwość, niezdolność do wspólnej pracy zorganizowanej, obliczonej na dłuższy przeciąg czasu — przeto nieprodukcyjność w zakresie twórczości historycznej, czego dowodem upadek Państwa w wiekach XVII i XVIII.

Rzeczowość lub jej brak sięgają do głębin życia nietylko narodowego lecz nawet ogólnoludzkiego. W dziejach etyki znajdujemy liczne szkoły, opierające cały gmach moralności na dążeniu do szczęścia osobistego lub zbiorowego; według nich posiadanie szczęścia winno być celem zabiegów człowieka, pragnienie szczęścia podstawą moralności. Inne kierunki etyczne wysuwają jako zasadę naczelną dążenie do wcielenia w życiu osobistem i społecznem wartości

moralnych, których istnienie i ważność są niezależne od woli lub niechęci człowieka, dążenie zaś do urzeczywistnienia tych wartości nie płynie z chęci posiadania szczęścia. Rzeczowość stoi ponad człowiekiem, jego szczęściem lub niedolą, subjektywność chce widzieć tylko człowieka, któremu podporządkowuje sprawę, rzecz.

Obie tendencje mogą doprowadzić w swej jednostronności do wielce ujemnych wyników, czego dowodem jest obecne życie rozbujałe; oba obozy powołują się na Pismo Święte, każdy z osobna uważając swe twierdzenia za religijnie uzasadnione, w nauce Jezusa Chrystusa założone. Z konieczności nasuwa się więc pytanie, jakie stanowisko zajmuje w tym sporze zasadniczym apostoł Paweł zarówno w słowach jak czynach, teoretycznie i praktycznie.

Tłem osobistem, z którego wyrastają twierdzenia Pawła, jest jego niedola, spowodowana przez pobyt w murach więziennych i ewentualność utraty życia. Filipjanie przechodzą również czasy prześladowań, łączy więc przewodnika ze zborem męczeństwo za sprawę Chrystusową. Dlatego słowa Pawła, zrodzone z własnych smutnych przeżyć odezwą się echem donośnem w sercach współwyznawców.

Możnaby przypuszczać, że męczeństwo, a więc cierpienia nie mające uzasadnienia w popełnionych winach, zniechęcą człowieka do świata otaczającego i zmuszą do baczenia jedynie na własną niedolę; w zapomnienie więc pójdzie sprawa, której człowiek służył, rzecz, której się poświęcił, a ich miejsce zajmuje pragnienie pozbycia się cierpień. Pożądanie to ma płynąć z istoty człowieka, jego natury; więc jest naturalne i z tego powodu rzekomo uzasadnione. Wbrew temu rozpowszechnionemu mniemaniu Paweł głosi paradoks: męczeństwo jest dowodem łaski Bożej; spogląda więc na taką niedolę apostoł nie pod kątem widzenia subjektywnego szczęścia, lecz doszukuje się i znajduje sens i znaczenie męczeństwa w woli Bożej. Dla nas chrześcijan, których symbolem religijnym jest krzyż, sąd Pawła jest zrozumiały a nawet konieczny, lecz dla ówczesnych zborowników jest on „zgorszeniem lub głupstwem", Grek bowiem w szczęściu upatrywał cel swego życia, Żyd zaś widział w niem dowód sprawiedliwej zapłaty. W jakiż więc sposób uzasadnia apostoł Paweł swe niezwykłe mniemanie w liście, skierowanym do zborowników w Filipi, którzy do niedawna jeszcze podzielali religijne zapatrywania Żydów lub Greków?

Dla Pawła jako wyznawcy Chrystusowego jest najwyższą wartością Chrystus, najszczytniejszem zadaniem głosić Jego Ewangelję słowem i czynem. Możności tej chciano go pozbawić chwilowo przez odebranie mu wolności, nazawsze — przez skazanie na śmierć. I cóż się okazuje? To co miało być dla Pawła i jego zadania życiowego najcięższą przeszkodą stało się pomocą, co miało być uniemożliwieniem stało się poparciem. Paweł bowiem, odwoławszy się do sądu cesarskiego, był stawiony przed sędziego rzymskiego, pretora, w celu wysłuchania oskarżenia i wniesienia obrony; nie mógł on się bronić inaczej z oskarżenia o wywołanie rozruchów jak tylko przez powołanie się na Jezusa Chrystusa, którego on był apostołem i sługą, mimo woli więc każda rozprawa sądowa dawała Pawłowi możność głoszenia Ewangelji wobec ludzi, których on w normalnych warunkach nigdy by nie dosięgnął.

Wieść o Pawle i Ewangelji, przez niego opowiadanej, wybiegła poza mury sądu i miejsce jego przymusowego pobytu, docierając do uszu i serc tych, którzy zainteresowali się losem apostoła; do tego przyczyniła się w stopniu niemałym żarliwość misyjna braci, którzy nabrawszy odwagi z przykładu swego apostoła głoszą Słowo. W ten sposób osobiste cierpienia Pawła przyczyniły się do rozkrzewienia Ewangelji, są więc dowodem łaski Bożej. Wśród cierpień a nawet w obliczu śmierci w sercu wielkiego ucznia Chrystusowego odnosi zwycięstwo idea, na jej usługach Paweł staje się rzeczowym do tego stopnia, że nie śmie mówić o sobie, a gdy zachodzi po temu konieczność wspomina o „więzach".

Jego bezinteresowność osobista była wówczas wystawiona na ciężkie próby nietylko ze strony wrogów lecz nawet pozornych przyjaciół. Wśród rzymskiego zboru znaleźli się przedstawiciele tego odłamu ówczesnego chrześcijaństwa, którzy nie mogli Pawłowi darować jego zerwania z żydowstwem i usilnie dążyli do nawiązania nici między Chrystusem i zakonem. Bez zakonu niemasz Chrystusa — było ich hasłem; cała więc praca Pawła była według ich mniemania conajmniej błędem, o ile nie zasługiwała na miano przestępstwa, dlatego i męczeństwo było naturalnym wynikiem błędnych dróg, któremi on kroczył, a bynajmniej nie dowodem łaski Bożej, jak to sobie opacznie Paweł tłumaczył. Ci żydochrześcijanie nie kryli się ze swemi zapatrywaniami przy głoszeniu Ewangelji wiedząc, że przez to „przydają ucisku więzom" Pawła. Jednak wielki apostoł przezwycięża budzącą się w jego sercu a zupełnie zrozumiałą niechęć i w swej rzeczowości zdobywa się na wyznanie: „ale cóż? w każdym razie, czy obłudnie czy szczerze, Chrystus jest opowiadany".

W celi więziennej, w obliczu śmierci, napastowany przez wrogów, prześladowany przez fałszywych przyjaciół, apostoł Paweł pozostaje wierny swej sprawie świętej, rzeczowość święci triumf.

Zdziwieni pytamy, gdzie bije źródło takiego samozaparcia i przezwyciężenia samego siebie? I na to pytanie otrzymujemy pośrednio odpowiedź z przytoczonych słów Pawła. On mówi o „Słowie" „Ewangelji" jako wartościach najwyższych, istniejących zupełnie niezależnie od duszy jednostkowej lub zbiorowej; one po-

siadają wartość najwyższą bez względu na uznanie, które posiadają lub niechęć, którą budzą.

Istnienie i ważność tych wartości są dla Pawła pewniejsze od bytu całego świata, do którego należy i jego własna osoba, więc dlatego może on podporządkować siebie, swe życie, swe szczęście sprawie, której uosobieniem jest Chrystus. Z przeświadczenia o objektywnem bycie i ważności tych najwyższych wartości płynie więc rzeczowość apostoła Pawła jako cecha jego charakteru.

Nie ulega wątpliwości, że cnota ta zasługuje na uznanie najwyższe i życzyć należy, aby znalazła w społeczeństwie naszem szerokie rozpowszechnienie. Wiele braków i wad naszego życia zbiorowego, na które się skarżymy z zupełną słusznością, zostały by usunięte a uleczone społeczeństwo mogłoby z wiarą spoglądać w swą przyszłość.

Nie należy jednak zapominać, że wszelka cnota, doprowadzona do jednostronności, wyradza się i może ostatecznie stać się wadą. Zupełna objektywizacja życia, szczególnie w okresie jego racjonalizacji, technizacji i ekonomizacji może doprowadzić do oschłości, bezduszności nawet okrucieństwa. Dzieje ludzkości pouczają nas, że liczni ideowcy nie cofali się przed stosowaniem krwawych środków w błogiem a błędnem przekonaniu, że tego wymaga sprawa. W celu uniknięcia niebezpieczeństwa, związanego z przerostem rzeczowości Kant oświadcza: „Postępuj w ten sposób, abyś uznawał człowieczeństwo w twej własnej osobie jak też w osobie każdego innego zawsze zarazem za cel nigdy zaś tylko za środek."

Zapatrywanie swe Kant uzasadnia przesłankami swego humanitaryzmu, apostoł Paweł zaś opiera się wyłącznie na zasadch religijnych, z tego powodu konflikt między rzeczowością a subjektywnością przezwycięża „w Chrystusie". On, najwyższa wartość, nakazuje czcić i kochać w każdym człowieku swego brata.

Kazimierz Kosiński.

JURYSDYKCJA DUCHOWNA NA SEJMACH EGZEKUCYJNYCH 1562—1564.

Jednym z najważniejszych punktów programu egzekucji za Zygmunta Augusta było uregulowanie sprawy duchowieństwa w Polsce. Sprawa ta dojrzała wpełni już w wieku XV; już wtedy poruszał ją z właściwym sobie ogniem i pasją Ostroróg w swoim Memorjale. W wieku XVI, od pierwszych podmuchów reformacji, jednało dla siebie u króla duchowieństwo przywileje przeciw herezji. Ale nie o wiarę tu szło zasadniczo. Chodziło o unormowanie stosunku państwa do kościoła i tak już stawiał był kwestję Ostroróg. Szło o to, aby duchowieństwo polskie nie miało prawa emancypacji kosztem państwa, żeby zaś państwo miało prawo wglądu w sprawy duchowieństwa. To miała na celu również walka Kazimierza Jagiellończyka o obsadzanie biskupstw przez króla, który chciał uzależnić senatorów duchownych od państwa. Tymczasem duchowieństwo, wpełni zależne od Rzymu, zależności od państwa nie chciało — szło mu o zasadę prymatu kościoła nad państwem. Jakoż rozumiemy dobrze, czem była w XVI w. walka z duchowieństwem o jurysdykcję i pobory. Wiemy, że reformacja w Polsce miała podstawy polityczno-prawno-ekonomiczne, które mieściły się doskonale w programie ogólnym egzekucji.

Walka szlachty z duchowieństwem zaczęła się dość wcześnie: już w przededniu Wojny Kokoszej, na sejmie Piotrkowskim 1536 r. poruszono sprawę dziesięcin, wolności duchowieństwa od poborów i świadczeń wojennych. Już wtedy przybywali posłowie ziemscy z groźnemi instrukcjami w tej mierze, już wtedy wysuwano kwestję, aby zabronić duchownym w Polsce rzucania interdyktu. Na sejmie r. 1538 zabroniono duchownym mieszać się do sądownictwa świeckiego obok ustawy, że nieszlachta i kortezanie nie otrzymają żadnego beneficjum. Nie było to jednak załatwieniem sprawy: spór o jurysdykcję trwał dalej aż do wybuchu reformacji za Zygmunta Augusta, a w myśl edyktu wieluńskiego z r. 1424 herezja równała się zbrodni obrażonego majestatu i była oddana pod sąd biskupi. Toteż sprawa zaogniała się coraz bardziej w miarę coraz nowych edyktów, obostrzających kwestję wiary w Polsce. Zygmunt Stary był katolikiem gorliwym i szczerym, stawał też w walce po stronie Kościoła i duchowieństwa. Rzeczy atoli uległy zmianie za Zygmunta Augusta, który sumienia pozostawiał Bogu. Na początku jego panowania wybucha walka z całą ostrością na sejmie 1550 r. Sprawa Orzechowskiego była w tym wypadku pozorem, za którym kryła się treść istotna: walka z jurysdykcją biskupią. Dlatego Orzechowski miał za sobą głos opinji, dlatego w całą sprawę wdali się ludzie najwybitniejsi w Polsce tego czasu.

Tymczasem za cenę ukoronowania królowej Barbary wytargowali biskupi nowy edykt przeciwko różnowiercom, co ostatecznie rozjątrzyło umysły i doprowadziło do zażartej walki na

sejmie piotrkowskim 1552 r., gdzie znowu bohaterem głównym był Orzechowski. Ale tym razem episkopat sam poszedł naprzeciw walce. Rozjątrzyła go sprawa Orzechowskiego, zastraszyły postępy reformacji, dodawał odwagi edykt Zygmunta z r. 1550. Zaczęły się pozywania przez sąd biskupi o wiarę, rozpoczęło się prześladowanie obcych przywódców różnowierstwa w Polsce. Z drugiej strony zależało biskupom na skonsolidowaniu ruchu katolickiego. W roku 1551 synod piotrkowski biskupów układa Confessio fidei catholicae, występuje już na widownię Hozjusz. Synod zalecił stosowanie kar najostrzejszych przeciw herezjom, przypominał dawne ustawy względem inkwizycji. I oto właśnie odpowiedzią na to była burza na wspomnianym sejmie 1552 r. Sejm ten odbył się pod wyraźnym znakiem reformacji, że przypomnimy znany incydent na wstępie podczas mszy sejmowej z Rafałem Leszczyńskim, który został właśnie marszałkiem Izby. O znalezieniu drogi wyjścia nie było mowy, zwłaszcza kiedy król de jure uznał jurysdykcję biskupią, de facto jednak przyczynił się do jej zawieszenia. W ten sposób powstało interim, które przeciągnęło się do roku 1562. Wtedy jurysdykcja biskupia wróciła pod obrady sejmu. Prymasem był już Uchański, zwolennik kościoła narodowego, co nie przeszkadzało mu stawać gorliwie w obronie praw i przywilejów duchownych.

Uchański wyrasta w djarjuszach obydwóch sejmów, piotrkowskiego 1562 — 3 i warszawskiego 1563 — 4 r., na bohatera całej akcji*). Stanowisko swoje zaznaczył prymas zaraz na początku sejmu, bezpośrednio po propozycji sejmowej. Ratował sprawę jurysdykcji biskupiej tak, że domagał się egzekucji pełnej dla wszystkich, co równało się, jego zdaniem, potwierdzeniu przywilejów każdego stanu, a zatem i duchowieństwa, tak „aby wedle prawa wszystko szło". W rezultacie domagał się Uchański rewizji listów, co było groźbą dla senatorów świeckich; uchronić od tej rewizji duchowieństwo było celem prymasa obok przywrócenia jurysdykcji biskupiej. W słowach brzmiało to tak: „aby była aequalitas każdemu in executione". Tegoż samego dnia 1 grudnia 1562 r. biskup krakowski, Filip Padniowski nawoływał do miłości i zgody w czynieniu egzekucji „tak, jakoby każdy stan i każda osoba przy swem prawie ostała", co równało się temu samemu, tj. przywróceniu praw duchowieństwa w Polsce.

Egzekucjoniści szlacheccy tymczasem stali nieprzejednanie przy swojem bez różnicy wiary: głosy przeciw duchowieństwu stawały się coraz bardziej namiętne i krzykliwe. Dnia 1 lutego 1563 r. Hieronim Ossoliński w imieniu Izby domagał się przedstawienia przez duchowieństwo aktów na swe przywileje „bo to wiemy, że ich sobie Ich Mość imo wiadomości Rad koronnych ku krzywdzie prawu pospolitemu dosyć nawyprawiali". Rewizję tych przywilejów obiecał był już Zygmunt Stary we Lwowie i nakazał duchowieństwu kłaść przywileje. „Jednak ich Xięża Ich Mość nie kładli, o cośmy my zawżdy się upominali, bo nie wiemy, przecz Ich Mść jurysdykcją swą nad nami chcą rozciągać, prawa sobie inne stawiać, imo prawa koronne".

W rezultacie przedłożyła Izba w Senacie dnia 6 lutego odnośny Memorjał w tej sprawie, w którym domagała się zrównania kleru w prawach i obowiązkach ze szlachtą. Memorjał był jednocześnie oskarżeniem, że księża „między deszczki statutu naszego, w którem prawa koronne są opisane, też ustawy swe i listy privatim uproszone, etiam sub interregno wtrącili, któremi nam czynią angarją". Oskarżał Memorjał duchowieństwo o chęć panowania w Polsce wespół z królami.

Tej uzurpacji władzy przeciwstawiała Izba przywileje i swobody szlachty, które polegały zasadniczo na prawie neminem captivabimus, na prawie przeciw konfiskacie dóbr według statutu czerwieńskiego oraz na konstytucji nihil novi, z któremi jurysdykcja duchowna sprzeczną była zasadniczo.

Atoli i Uchański nie pozostał dłużny — bezpośrednio po wysłuchaniu Memorjału w senacie odpowiedział górnie w imieniu kleru, że ten nie obowiązany jest zdawać nikomu sprawy ze swych wolności. W rezultacie jednak zapowiedział odpowiedź duchowieństwa na Memorjał Izby, co też miało miejsce dnia 20 lutego.

Odpowiedź ta jest charakterystyczna: cechuje ją kazuistyka słowna, szuka się w niej oparcia dla jurysdykcji i przywilejów nawet w Piśmie św., jest wymowna i obszerna, zasadniczo spokojna, acz chwilami uderzała w ton zaklęć i próśb do króla, cechowała ją nadto efektowna pobożność i pokora. Odpowiadał naturalnie Uchański. „I my osobliwie się cieszymy i chwalimy Pana Boga, niedostojni słudzy Kościoła Jego świętego, z tego, co widzimy, że się prawa, wolności, swobody koronne po większej części przywodzą w exekucję i jako możemy i umiemy da Pan Bóg — o to się wiernie staramy i przyczyniamy do tego W. K. M. Panu naszemu Miłościwemu z innemi Pany Radami i Panom Posłom pomagamy, Pana Boga prosząc, aby z łaski a z miłosierdzia swego wielkiego raczył w tej sprawie wszytkiej i innym przedsięwziętym na tym sejmie miłościwie pożegnać, aby się to wszystko uiściło i wszytkiemu k'temu dosyć stało, czego jedno R. P. potrzebuje ku dobremu postanowieniu, pokojowi, zgodzie, sprawiedliwości, obronie i dobremu rządowi Rzeczy Pospolitej".

Po tym wstępie zdawaćby się mogło, że obóz duchowny stanął całkowicie na stanowisku egzekucji. Istotnie, arcybiskup prymas Uchański nie negował potrzeby składania listów i przywilejów, których duchowieństwo jednakże nie przedstawia, bo takich w swojem rozumieniu

*) Źródłopisma do dziejów Unji... Poznań 1861 wyd. Działyński. Stamtąd wzięte cytaty.

nie ma, bo takie dotyczą tylko spraw świeckich oraz wolności pospolitej, a nie Kościoła. Jakoż i uniwersały sejmowe, wzywające do składania listów, nie dotyczyły duchowieństwa, którego prawa i przywileje pochodzą od Boga. Tu zjawia się rozumowanie jakby żywcem z Orzechowskiego wyjęte, że od nastania wiary chrześcijańskiej i od przyjścia jej do Polski zawsze i wszędzie tak było, że „zawżdy dwoim prawem krześcijany byli sądzeni: jednem — ludzkiem albo świeckiem, drugiem — boskiem, albo, jako zowiemy, duchownem. Przeto dwoją moc zawzdy i dwoi przełożeni w krześcijaństwie bywali i są i będą, duchowni i świeccy. Duchownym Pan Bóg klucze dać raczył, jako sługom a urzędnikom Kościoła swego, aby słowem Bożem otwarzali, zawierali Królestwo Niebieskie i aby wiązali grzeszące, niepokutującym aby zatrzymywali grzechy, a pokutującym aby rozwięzowali i aby im odpuścili grzechy".

Z tego wynikało, że jurysdykcja duchowna jest skutkiem naturalnym prawa boskiego, że ją sam Bóg ustanowił i sam jej żąda. Nie spostrzegł się w tem miejscu Uchański, że sam prowadził posłów do rozpraw religijnych, skoro jurysdykcja biskupia, jego zdaniem „nie jest co innego, jedno moc z nieba dana, a przez Pana Zbawiciela naszego pierwej Apostołom, a przez Apostoły potem Kościołowi, a w Kościele starszym, jako: papieżowi, patriarchom, arcybiskupom, biskupom i innym od nich postanowionym poruczona, nie na skazę żadną, ale na naprawę a na budowanie w wierze chrześcijańskiej i w świeckich dobrych obyczajach".

Z drugiej jednakże strony zdawał sobie Uchański dobrze sprawę z tego, że jurysdykcję należało poprzeć argumentami prawnemi, jakoż dowodził prymas dalej, że sądownictwo duchowne w niczem nie jest przeciwne jurysdykcji świeckiej, a tudzież prawom i przywilejom szlachty. I tutaj właśnie nie obyło się już bez zaklęć: „świadczym się imieniem naszem, wszystkiego duchowieństwa naszego, Panem Bogiem, świadczymy się i W. K. M., nas wszech miłościwym a sprawiedliwym Panem, świadczymy się Panom Radom i wszystkiem innem pospolicie tu natenczas przytomnym cum solennitate quanta possumus maxima, że żadnego sądu ani praktyki około nich nie chcemy". Zdawaćby się mogło, że nic łatwiejszego, jak zrzec się jurysdykcji wobec tego, a przecież Uchański o nią zabiegał, że winna być przywrócona jako przywilej duchowieństwa. Wytwarzało się tu oczywiste błędne koło, a w całem tem rozumowaniu było już „pękniecie serca znać". Nic nie pomogło jednak powoływanie się na artykuły prawne statutów, na przywileje królów dla duchowieństwa od czasów najdawniejszych, nic nie pomogło dowodzenie, że to „wszystko nie jest przeciw rozumowi, ale barzo według rozumów i wedle sprawiedliwości", nic nie pomogło wreszcie twierdzenie, że posłom nie wolno podawać w wątpliwość podstawy prawnej i religijno-moralnej jurysdykcji biskupiej i tego, że królom wolno było wydawać od siebie edykty i przywileje dla kleru.

Czuł tę niedostateczność swoich twierdzeń sam Uchański, który w rezultacie pod koniec przemówienia zszedł z swojej podstawy prawnej i uderzył w ton kaznodziei, grożącego królowi i Państwu gniewem Bożym. Wołał do króla, aby zadośćuczynił duchowieństwu: „aby W. K. M. gniew Boży od siebie i od ludu swego poddanego odwrócić mógł, bo to pewna ista rzecz, by W. K. M. według świata i wolej ludzkiej we wszytkich sprawach R. P. i swoich jako namędrzej i napilniej postępował i ludziom zgadzał, jeśli W. K. M. Pana Boga nie ubłagasz, a chwały Jego świętej nie naprawisz, Kościołów nam nie wrócisz z tem wszytkiem, co z nich wybrano, sądem sprawiedliwym etc... że też Pan Bóg zaniedba i opuści W. K. M. i nie będzie raczył nic szczędzić, nigdy nie nadziewaj się pewnie zwycięstwa nad nieprzyjacielem, pokoju albo jakiego rządu, ani zgody, miłości między ludźmi, którębyś W. K. M. rad widział, jako o tem więc mówić raczysz i niczego dobrego we wszystkich państwach W. K. M. ale pewnego zginienia i upadku; bo jeśli krzywdy ludzkiej i nauboższego nie cierpi, pewna rzecz, że swej krzywdy, zwłaszcza lekkości, wzgardy tej kiedy nikt nie karze ani powściąga, bez srogiej pomsty nie ostawi".

Z tego wszystkiego widzimy jedno: że chociaż Uchański szukał dla jurysdykcji biskupiej podstawy religijno-prawno-moralnej, sam na takim gruncie nie stał. Bo i jakże można moralnem uznać plątanie Boga w sprawy ludzkie, zasłanianie się prawem Bożem i grożenie Bogiem państwu za nieutrzymanie swoich postulatów? Mamy tutaj i Timor Dei i Sensus ruinae, a jednocześnie prośbę pokorną do króla i senatu!

Nie pozostała też dłużna Izba poselska. Dnia 2 marca, we wtorek, 1563 r. Hieronim Ossoliński czytał respons na to pisanie Xiężej, w którym powtarzały się znane już nam argumenty szlachty w tej mierze. Następnego dnia oświadczyła Izba, że żadnych artykułów omawiać nie będzie, że przedewszystkiem nie uchwali podatku na obronę (po utracie Połocka) do czasu zawieszenia jurysdykcji biskupiej. Dnia 9 marca „szli posłowie od króla in Senatum za rozkazaniem królewskiem", gdzie prymas Uchański stanął ponownie w obronie praw duchowieństwa, poczem w odpowiedzi na respons H. Ossolińskiego udzielił głosu ks. Warszewickiemu, który jął „skrypt jakiś wielki czytać". Duchowieństwo wiedziało i czuło, jak dalece Izba była pod wpływem reformacji i w odpowiedzi swojej nie omieszkało piętnować różnowierców. Natenczas posłowie oznajmili królowi, że nie chcą się wdawać z duchowieństwem w żadne controwersje i zaproponowali zwołanie soboru narodowego. Kto wie, czy Uchański nie kierował umyślnie spraw w ten sposób, by sobór narodowy wyłonił się tu sam przez się?

Teraz w imieniu Izby odpowiedział Uchańskiemu Mikołaj Sienicki. Dowodził, czem był w Polsce kult dla króla. Na tem miejscu możemy dodać, że w Polsce XVI wieku przy ograniczonej prawnie władzy królewskiej było duże poczucie poszanowania majestatu królewskiego, była nawet duma narodu, że swoich królów poważa i czci, że swoim królom jest wierny, było też poczucie łączności króla z narodem. Jakoż i teraz Mikołaj Sienicki powiadał: „Najjaśniejszy M. Królu. Wiemy my dobrze powołanie swe od Pana Boga chrześcijańskie, które nas uczy: każdemu przełożeństwu, między któremi W. K. M. Pan Bóg praecellere fecit, posłusznymi być, znamy powinność swą, żechmy każdą największą uczciwość osobie W. K. M. Panu swemu, którego majestas u nas sacrosancta jest, winni, czujemy się własnymi potomki przodków swych, Polaków, którzy wiarę swą na wszem Panom swym zawżdy statecznie trzymali, którą i my W. K. M. pokazować jesteśmy gotowi".

Chciał był powiedzieć Sienicki, że wierni królowi, chcą jemu tylko służyć, a nie dwom panom służyć. W sprawie jurysdykcji oświadczył kategorycznie w imieniu Izby, że ta przerywa wszelkie debaty na powyższy temat. W rezultacie dnia 11 marca (1563) sprecyzowała Izba swoje żądania tak: o religji ani jurysdykcji dyskutować nie chce, żąda natomiast wprowadzenia w życie statutu jedlneńskiego, warującego prawo neminem captivabimus i statutu czerwieńskiego, który zakazywał konfiskatę dóbr bez zapadłego wprzódy wyroku królewskiego. W ten sposób Izba, nie wprowadzając de facto nowych uchwał w sprawie zawieszenia jurysdykcji biskupiej, odbierała jej egzekutywę świecką.

Dnia 13 marca przyłączył się król do stanowiska Izby, a wtedy przegrał ostatecznie sprawę prymas Uchański, pobity własną metodą walki, bowiem Izba domagała się również jedynie tylko egzekucji praw szlacheckich. Episkopat jednak nie dawał jeszcze za wygraną, nawet wtenczas, gdy Zygmunt August opowiedział się był za Izbą. Wtedy wystąpił przed Królem legat papieski, który jednał też dla sprawy niektórych senatorów świeckich, a nawet posłów. Biskupi urządzili nadto w kościele z arcybiskupem prymasem i legatem swoje concilium, napominali króla na tajnem zebraniu senatu, wreszcie przestali bywać na jego posiedzeniach.

Kiedy przyszedł w listopadzie tegoż roku sejm warszawski, wystąpił na nim zaraz na wstępie Uchański z mową pełną goryczy i wyrzutów do króla (23 list. 1563 r.). Zgadzał się z tem, co podawał podkanclerzy Myszkowski w propozycji sejmowej, z całym zawartym w niej pesymizmem, pozornie oddawał nawet królowi sprawiedliwość w czynieniu dobrze dla państwa aż do wyczerpania i choroby „że i na płacz W. K. M. przychodzi", ale to wszystko „jeno przez grzechy nasze", przedewszystkiem zaś przez grzechy króla. I oto radził Uchański, aby król ni mniej ni więcej tylko wyłonił komisję z ludzi „którzy się Boga boją", któraby orzekła, czy król istotnie „nie tak wiele ludziom winien", jak to podawał w propozycji od tronu. Uderzał nadto Uchański w ton pesymizmu, w ton kaznodziei, biadającego nad Polską, nad jej upadkiem i grzechami, czemu nie mogła przeciwdziałać już zawieszona jurysdykcja biskupia. Król winien najpierw pokazać po sobie zadośćuczynienie i ekspjację za to „o co duchowni milczą, Rady też nie mówią". Były to aluzje do pożycia króla z królową Katarzyną i do jego starań o rozwód. Dalej przedstawiał Uchański rozpaczliwe położenie Polski wobec wzrostu reformacji i arjanizmu. Działo się to już w czasie głośnych sporów chrystologicznych w kościele małopolskim. Wołał teraz Uchański: „Grunt nabożeństwa skażon, wywrócon. Mam ja że teraz pięćdziesiąt (jako się zową) ministrów sprzysięgłych, którzy się podpisali o najprzedniejszym artykule naszym, o Trójcy św., który z dawna przez Św. Ojce i Doktory, jako zową Święte, wyłożon jest, a dzisia Syna Bożego, Ducha Ś. zową creaturą. Dla tegoż się w Koronie źle dzieje, a przedsię Xięże nie mów". Nie wiarują się ludzie w Polsce przysiąg, słowem „już spoganiała i zżydowiała Korona, żywot zły, nie masz disciplíny, nie chcą się dać sędzić, jeno gdzie się im podoba, ani nie masz prawa, statutu, o cudzołóstwo, o łakomstwo, o lichwę". Tak więc Polska upada, a to wszystko z różności wiary. „Nienawiść, jeden drugiego już łupi, drze, hańbi, sromoci. Nie masz komu pohamować", skoro niema jurysdykcji biskupiej. Sam król zresztą nie dotrzymał przysięgi. Mówił Uchański: „Ano ja wiem, żeś się W. K. M. obowiązał nie jedno świeckiemu stanowi ale i duchownemu prawa trzymać i jest to w przysiędze, w recesiech, w uniwersalech". Nie była to już skarga, ale wprost oskarżenie króla przed potomnością. Egzekucja od króla miała się zacząć, a zaczęła się od Kościoła. Twierdził nadto Uchański, że sam Pan Bóg postawił go na tem miejscu obok króla, z którego powinien przestrzegać, aby nie działy się rzeczy przeciwko prawu i Bogu. „Ja i z Ich M. X. Biskupy, jeśli o co, tedy o chwałę Bożą zastawiać się winniśmy, boć to nie dobrze, że sobie każdy nabożeństwa stawiać ma, przysięgi sobie odmieniają przeciwko opisanemu prawu. Co się dotycze sejmowych spraw, aby się temu dosyć działo, na co się zezwoliło, ale na co się nie zezwoliło, nie chcę o tem mówić, jeno kiedyby się wszytko, jako jest zdawna napisano, prowadziło, rychlejbyśmy z deszczek wyszli". W rezultacie stanowisko Uchańskiego streszczało się w tych oto słowach: ‚Egzekucja nie stąd się miała począć, jeno jako jest w recessiech opisana, od deszczki do deszczki, aby wscyscy k'niej zasiedli Prussowie, Zatorzanie, Oświecimianie, mają być wszyscy przy początku".

Wracał zatem Uchański do pierwotnego punktu wyjścia sprawy, domagał się przywrócenia jurysdykcji, jako przywileju duchowieństwa. Stał na stanowisku nieprzejednanem, z którego rozbrzmiewał skargą i groźbą Gniewu Bożego. Było to błędne koło, z którego nie było wyjścia, a na ustępstwa pójść nie chciano. Domagano się egzekucji od deszczki do deszczki, w przeciwnym razie występował argument inny: Timor Dei. Dnia 2 grudnia 1563 roku powiedział był Noskowski, biskup płocki: „Caput executiae — naprawa praw, ale od deszczki do deszczki, aby była cum dignitate Regis et timore Dei". Ale w zniesieniu jurysdykcji duchownej nie było obojga, co w rezultacie dawało obraz upadku państwa i religji.

Więc tak: w wywodach Uchańskiego i kleru sprawa jurysdykcji biskupiej wiązała się najściślej z Reformacją; upadek jurysdykcji podawał się jako upadek prawa Bożego w Polsce, jako pognębienie religji, sprawiedliwości i Rzeczypospolitej. Stąd w rezultacie zjawiała się przepowiednia upadku Polski, całość dawała obraz ruiny, odrzucenie postulatów duchowieństwa stawało się źródłem niewiary w państwo i jego żywotność. Ponad wszystkiem stawało jedno: Sensus ruinae, czemu sekundowały: Bojaźń Boża i Gniew.

ROMUALD BALAWELDER.

SMUTKI I RADOŚCI POMPEJAŃSKIE.

(FRAGMENT Z PODRÓŻY DO WŁOCH.)

„Tutaj! Tutaj! Chodź pan!" — wołał profesor Robert, ukazując siwą głowę w otworze muru. Poszedłem w wskazanym kierunku i wkrótce znalazłem się u boku mego towarzysza.

„Jesteśmy w muzeum"—objaśnił. Rozejrzałem się dokoła. Osobliwy widok! W środku podłużnej sali stało kilka szklanych skrzyń. Wewnątrz każdej leżała jakaś postać ludzka w dziwnej pozycji, jakby zasłaniała się przed jakimś wrogiem nieznanym, strasznym. Buchała od nich męka przedśmiertnych zmagań. Widać, że zasłaniali głowy, oczy, usta, aby uniknąć ciosu— ale nadaremnie. Ulegli. W kącie leżał pies, zwinięty w kłębek. Wszystko białe, trupie. Groza wisiała w powietrzu. „Oto dzieje tragicznego dnia 24 sierpnia 79 roku — przypomniał profesor. Groźne huki budzą Pompejańczyków. Z krateru Wezuwjusza wystrzela grad białych kamieni. Bombarduje miasta okoliczne. Mieszkańcy uciekają w popłochu, w przerażeniu. Nie wszystkim udało się ujść przed śmiercią. Zasypał ich kamienny gruz, zagasił iskry tysiąca żywotów. W ciągu dnia wyrosła na kwitnącem mieście wysoka mogiła kamienna, a gruba, ciężka płachta popiołu pokryła żałobne dzieło zniszczenia".

Obejrzeliśmy po kolei szklane trumny. Dziwne to zabytki! Ludzie, oddawna obrani z ciała, zostawili po sobie tylko kształty, wyrzeźbili swoje postacie w popiole wulkanicznym, umożliwiając dokonanie gipsowych odlewów. Natura sama kazała postawić tym nieszczęśliwym posągi ich męki.

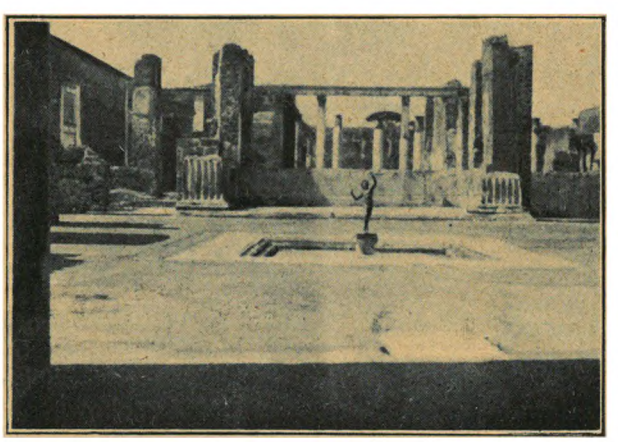

Fot. R. Balawelder.

CASA DEL FAUNO. (DOM FAUNA)

Najwspanialszy z domów w Pompeji. W środku atrium widać impluvium, a obok tegoż figurkę tańczącego Fauna. W głębi kolumny peristylu.

„Mam wrażenie, jakbym był w gabinecie paleontologa[1]) — rzekłem Oto skamieliny, któr mogły przetrwać jeszcze lat miljony. Może w ten sposób, kiedyś, gdy zabraknie człowieka na ziemi, — jakiś następca rodzaju ludzkiego będzie odkrywał istnienie człowieka na globie?"

Wyszliśmy z ponurego przybytku. — Dzień był cudowny. Ale dusze nasze pełne były smutnych refleksyj i różnorodnych uczuć. Nieśliśmy czas jakiś ciała swoje po ulicach i placach umarłego miasta, nie bacząc na nic, co się dokoła nas znajdowało. Samotności naszej nie przerywał nikt z żyjących.

Był ranek dnia świątecznego.

Profesor zwierzał się cicho:

„Panie, — mówił — nad grobem już stoję, nie lubię silnych wzruszeń. A jednak wszystko, co tu widzę, przejmuje mnie do głębi. Wśród tych szkieletów wspaniałej przeszłości zobaczyłem dziwnie wyraźnie ruinę mojego życia, bankructwo mojej ciężkiej pracy".

Przerwał. Patrzałem nań pytająco i z współczuciem.

[1]) Paleontolog — badacz świata organicznego w różnych okresach geologicznych na podstawie skamielin t. j. szczątków, znajdowanych w różnych skałach.

„Jestem klasykiem — ciągnął po przerwie.— Od 32 lat uczę młodzież łaciny w berlińskiem gimnazjum. Męczę młode główki, gnębię słówkami martwego języka. A, gdybym uczniów swoich tutaj przyprowadził, co by rzekli? — Oto uczysz nas kochać popioły! Oto grzebiesz w ruinach i nasze dusze, do życia i słońca rwące się, pochylasz ku ziemi i tam mądrości minionych wieków szukać każesz. Nam pęd! nam przyszłość! nam wiarę czyń w naszą moc! — I, wie pan, zdaje mi się w tej chwili, że mieliby słuszność. Przeszłość czcić można, lecz kochać—przyszłość! Żyć—przyszłością! Gdybym się raz wtóry narodził, nie byłbym klasykiem..."

Głos profesora drgał wzruszeniem. Ruiny przemówiły doń krzykiem wielkim. Obudziły w nim siły niewyzyskane, drzemiące gdzieś na dnie. Niestety — za późno. Wśród myśli o tych, co tu kiedyś żyli, co Bogów innych czcili przejdzie i on w kraj Nieznanego. Żal mi było serdecznie czcigodnego starca, odczułem głęboką tragedję człowieka, który wśród ruin odnalazł kochankę swojej duszy—umarłą. Zacząłem go pocieszać:

„Każdy klasyk jest poetą ruin. Nie śmierć opiewa, ale życie wyławia z przebrzmiałych słów, z martwych kamieni, porzeźbionych w domy, kolumny, posągi. Z zaułków cichych, opustoszałych wydobywa na światło życie barwne, soczyste krwią, bujne, różnorodne. O! klasycy! Jeśli dziesiątki wieków przetrwała wasza praca, pojąc pokolenia widmami, to przeto tylko, żeście cud wskrzeszania umarłych pokazali, żeście piękne, bogate tajemnice życia wydarli śmierci zazdrosnej i przeto ponad ciało wynieśliście godność i wartość myśli ludzkiej, duszy ludzkiej". Profesor spojrzał na mnie z wdzięcznością i dłoń moją mocno uścisnął. W oczach łza zabłysła.

„Jest Pan Polakiem, a ja Niemcem. Poją nas nienawiścią wzajemną. A jabym krzyknął na świat cały: Szlachetni wszystkich krajów łączcie się! Kochajcie się!"—

„Łączą nas wiedza i sztuka. One są nieśmiertelne i wyższe nad egoizmy narodowe" — rzekłem krótko, pokrywając wzruszenie.

Uspokojeni i rozserdecznieni, zaczęliśmy zwracać uwagę na ruiny miasta. Zapuściliśmy się w szachownicę długich wąskich uliczek, wykładanych blokami zastygłej lawy. Na środku widać było wyraźne ślady kół, wyryte w masie kamienej ulicy. Na rogach niektórych ulic, przecinających się pod kątem prostym, jak w miastach amerykańskich natykaliśmy się na studnie, czworoboczne, zdobne głowami bóstw i t. p. Przypominały mi się wędrówki po miastach Wschodu. Mury, ślepe od strony ulic, miały jeno gdzieniegdzie u góry mały otwór zakratowany. Całe życie rodzinne skupiało się wewnątrz domu, od ulicy zazdrośnie strzeżone. Focus (ognisko domowe) ani ołtarz Larów i Penatów nie znosiły widoku ulicznego tłumu.

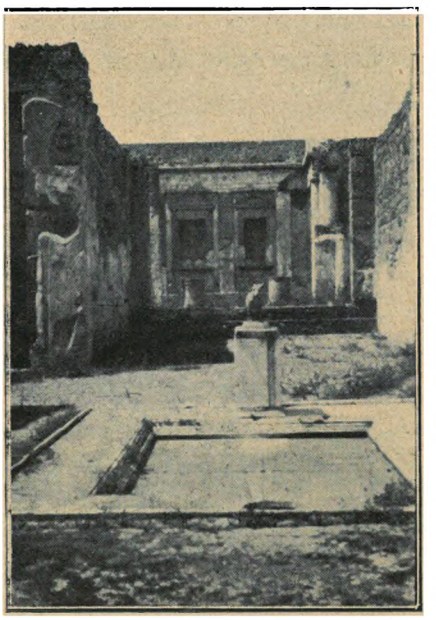

Fot. R. Balawelder.

CASA DEL FORELLO.

Dom przy Via Nola. Na środku atrium figurka aniołka — stąd nazwa domu.

Znaleźliśmy się na Strada dell' Abbondanza W pewnym momencie skręciliśmy w bok, kierując się do wnętrza jakiegoś domu. Przeszliśmy kilka stopni kamiennych i wkroczyliśmy do vestibulu (przedsionka). Na posadzce zachował się wyryty napis „Salve!" W pustym dzisiaj otworze vestibulu przyjmował niegdyć czcigodny patron klijentów swoich, którzy przychodzili doń z rannem powitaniem.

Poszliśmy dalej. Przeszliśmy ostium (sień) i wtargnęliśmy, — nie zważając na puste już dzisiaj ostrzeżenie „Cave canem!" („Strzeż się psa!")—do atrium[2]). Właściciel domu tego musiał być człowiekiem zamożnym. Dotąd stały w kątach ułamki kolumn marmurowych, podtrzymujących ongi sklepienie dachu. W impluvium[3]) na dnie było trochę wody; mizdrzyły się do niej różne przywiędłe roślinki. Cubicula (sypialnie) i triclinia (sale jadalne) były jakby świeżo wyprzątnięte. Peristyl[4]) zachował najwięcej życia: oleandry oraz mnóstwo krzewów innych kwitnących pokrywały dawny ogród. Profesorowi błyszczały oczy. Co za eldorado dla klasyka! Kopalnia wiadomości!

Przez wyłom w murze przecisnęliśmy się do sąsiedniego domu, stąd do następnych. Zaplątaliśmy się w labiryncie murów. Jak złodzieje przekradaliśmy się z mieszkania do mieszkania, wścibialiśmy nosy w różne zakamarki rodzinne, przyglądaliśmy się posadzkom, ścianom — słowem podpatrywaliśmy niedyskretnie, co się dało. Śmierć przekreśliła granice własności zazdrosnych o życie rodzinne Rzymian. Wreszcie wdrapaliśmy się na mur, skąd widać było całe miasto umarłych. Zdało mi się, że jesteśmy

[2]) Atrium — środkowa sala domu rzymskiego, gdzie najczęściej przebywała rodzina.

[3]) Impluvium — zbiornik w podłodze atrium, do którego wpada woda deszczowa przez otwór w dachu.

[4]) Peristyl, albo hortus — ogród otoczony sklepionemi chodnikami.

na gruzach jakiejś zburzonej przez wojska nieprzyjacielskie warowni. Mury domów, przeważnie ograbione z piętr i dachów przez ocalonych mieszkańców miasta, a potem przez rabusiów i nierabusiów rozlicznych, wyglądały jak dolmeny i mentury bretońskie — owe dziwne szeregi głazów - ołtarzy druidzkich, w których legenda widzi zaklęte w kamienie wojsk szeregi.

Czas upływał. Zbliżało się południe. Żar z nieba lał się strumieniami.

Profesor zagłębił się w czytaniu Baedeckera. Obawiałem się, że wpadnie w drobiazgowość i że wyjdziemy z Pompeji, nie wiele skorzystawszy. Zaprosiłem go więc na skromne śniadanie. Gdyśmy się posilali zawołałem:

„Spójrz pan na Wezuwjusz! Jego wyrok skazał to miasto na zagładę. Czyż nie piękny ten despota?"

Profesor podniósł głowę. Wulkan wyglądał cudownie. Siedział na tronie gajów, oliwnych i pomarańczowych. Zdala domy białe, kamienne, pomalowane wieńcami żywych kwiatów, tuliły się do jego stóp. A wysoko, nad szczytem chwiał się pióropusz dymu. Olbrzym czuwał. Na twarzy profesora występowało zachwycenie. Nad posępną myślą o śmierci występował majestat życia. Przebijał mroki wieków genjusz Przyrody, przenosząc nas w świat antyczny, gdy wrzało tu życie.

„Właściwie nie smucić się nam na ruinach, a raczej zazdrościć życia i śmierci Pompejańczykom wypada" — zacząłem.

„Zazdrościć śmierci? Czemuż to?" — zdziwił się towarzysz.

„Trudno o śmierć piękniejszą i pożyteczniejszą. Dobrze trzeba się w życiu zasłużyć, aby stać się nieboszczykiem cenionym przez potomnych".

„Hm... hm..." mruczał profesor, zamyślając się głęboko.

„Każda kosteczka Pompejańczyka stała się klejnotem bezcennym, relikwią. Obserwujemy każdy ich krok, pieścimy się ich błyskotkami, każde ich słowo — chociażby najgłupsze, jest dla nas dokumentem, cenionym nad brylanty. Trudno o większe szczęście, jak żyć miło, a potem bez wysiłków — ot tak, prze śmierć niezwykłą zyskać sławę nieśmiertelną. Nawet ten pies, w kłębek zwinięty, któremuśmy tak współczuli, przeszedł do wieczności".

„Rzeczywiście, rzeczywiście..." przyznawał profesor.

„Dobrze się śmiercią swoją przysłużyli krajowi Pompejańczycy. Przysporzyli rodakom swoim wiele sławy i mienia" — zakończyłem.

Profesor rozpogodził zupełnie twarz.

„Chodźmy zwiedzać miasto! Niech pan prowadzi!"

„Brawo!" — zawołałem. „Ja prowadzę w życie pompejańskie!"

Wyjąłem plan ruin i poprowadziłem raźno. Profesor szedł z podniesioną głową.

Po pewnym czasie znaleźliśmy się na placu prostokątnym. Zwaliska kolumn, połamanych, jak zapałki, otaczały plac szpalerami. Gdzieniegdzie strzelały nad otoczenie smukłe, marmurowe kolumny, jak samotne drzewa wśród poręby.

„Oto Forum civile" — obwieściłem, patrząc na plan.

Obeszliśmy plac. Jakże miło musiało być tutaj Pompejańczykom, spędzającym każdą wolną chwilę na forum! 3 wspaniałe świątynie (Jowisza, Apollina i Wespazjana) przeplatały się z halami targowemi i z rezydencjami dygnitarzy miejskich. Przechadzali się wśród Bogów wszędzie i zawsze; nawet handlując, chcieli czuć obecność ich i bazyliki[5]) czynili podobnemi świątyniom.

Naraz profesor zaklął: „Przeklęci Włosi! Patrz pan — i ze świątyń porobili klatki!" To mówiąc, szarpał kraty żelazne, zagradzające wejście do przybytku króla Bogów. Musieliśmy wyszukać przewodnika, bo wiele najcenniejszych zabytków łapczywi dziedzice ojczyzny Rzymian zakuli w kajdany. Liry tylko wolność świątyniom i pałacom na chwilę przywracają.

Przez Strada delle Scuole i Vicolo dei Teatri przeszliśmy na Forum triangulare. Resztki doryckich kolumn świadczyły o pięknem obramowaniu trójkątnego placu.

„Podziwu godne, jak oni umieli upiększyć sobie życie! I ten plac, przeznaczony dla idących do teatru, uświęcony obecnością Bogów!"

„Tak. Tutaj stała świątynia dorycka, a tam Eskulapa i Izydy" — objaśniałem.

„Przechodzimy teraz obok dawnych kwater gladjatorów, a tam było więzienie".

„Teatr!" — przerwał uradowany staruszek.

„Tak. To Teatr Wielki, na 5 tysięcy widzów. Co czwarty mieszkaniec mógł przypatrywać się równocześnie widowiskom. A tam obok to Teatr Mały, gdzie 1.500 słuchaczy rozkoszować się mogło produkcjami muzycznemi. To jeszcze nie wszystko. Niedaleko stąd Amfiteatr, obliczony na 20 tysięcy widzów. A więc cała ludność Pompeji mogła równocześnie przypatrywać się bezpłatnie walkom gladjatorów i dzikich zwierząt!"

„Gody życia! Gody życia!" — wykrzykiwał zachwycony profesor, drepcąc za mną przez Strada Stabiana do Term Stabiańskich — rozkosze ducha i ciała. Świątynie, teatry i te łaźnie — pałace!"

Zwiedziliśmy jeszcze po drodze „Lupanare", gdzie sprośne napisy i wyuzdane rysunki na ścianach, stwierdzały, że Pompejańczycy lubili używać życia wszechstronnie, poczem wyszliśmy na Strada di Nola. Teraz wchodziliśmy po kolei do tabern (sklepów) i mieszkań różnych bogaczy i dygnitarzy miejskich. Co za bogactwo pamiątek! (z których cenniejsze wywieziono do

[5]) Basilica — prostokątna budowla, podzielona kolumnami na 3 lub 5 naw, służąca jako hale targowe i dla posiedzeń sądowych. Stała się wzorem dla architektury Kościołów.

muzeów wielkich miast włoskich). Tu malowidła ścienne, barwne, żywe, tam posążki bożka, fauna, osiołka, ówdzie peristyl zachował całą swoją wspaniałość przepysznego ogrodu, obramowanego marmurowemi kolumnami, tam znowu warsztat młynarza.

Zmęczeni, ale pełni podniosłej radości, skierowaliśmy się ku wyjściu przez Porta Ercolanese. Jeszcze raz chcieliśmy zobaczyć panoramę miasta i wdrapaliśmy się na mury, otaczające Pompeję.

Hej! Jak cudownie wyglądały ruiny na tle gajów zielonych! A pod nami wyciągała białą szyję w stronę Wezuwjusza Strada de' Sepoleri, ulica grobów. Grobowce obramowywały drogę, jak ławki kamienne w parkowej aleji, albo, jak altany, kuszące słodkim wypoczynkiem. Długi czas oczu oderwać nie mogliśmy od ponętnego cmentarza.

Gdyśmy nareszcie zdecydowali się opuścić cenne ruiny, wieczór już zapadał. Słońce rzuciło kaskadę barwną świateł na ten kąt zaczarowany.

„Jacy oni byli szczęśliwi — o! mój Boże! — westchnął profesor Robert. A nasze życie?" — machnął beznadziejnie ręką. — Może, jak ja, poniewierał się w ojczyźnie własnej po obcych kątach, bezdomny?

I, jak ludzie, których wysyłają na pokutę konieczną, a twardą, opuszczaliśmy z żalem i smutkiem umarłe Pompei, kierując się do świata żywych.

LEON RYGIER.

NA MARGINESIE „BŁOGOSŁAWIEŃSTWA ZIEMI" HAMSUNA.

Jak szybko płynie czas?

Oto zdaleka przychodzi do mnie wieść, że Hamsun skończył siedemdziesiąt lat. I nagle ogarnia mnie ciche, melancholijne zamyślenie. Więc i moja młodość minęła już bezpowrotnie? Minęła ta śliczna, nierozumna młodość, której ten pisarz był takim nieporównanym poetą?

Młodość jego, i moja i wszystkich jego i moich rówieśników. Minęło bezpowrotnie....

A jednak pozostało z niej coś trwałego, czego on był twórcą i co rozdawał między nas. Czytaliśmy w ciągu długich lat tak wiele — i nieraz książka zastępowała nam życie — gdzież są te wszystkie książki? Jakże mała ich ilość żyje jeszcze w naszych sercach. Zwiędły, jak kwiaty tylu naszych wiosen, i rozwiały się, jak liście naszych jesieni. Twarze kochane, które z nich patrzyły urzekającemi oczyma, zestarzały się, pomarszczyły jak zwiędłe jabłka — odeszły w cień niepamięci.

Ale gdy wymawiamy czarodziejskie zaklęcie, jedno krótkie imię i nazwisko: Knut Hamsun, nagle zmartwychwstaje nasza młodość. Prawda: żywe jej barwy, przesłania jakaś mgła, mgła zadumy i bardzo mądrego, łagodnego smutku, ale młodość jest żywa, przytem jest piękna. Łożyskiem jej przepływają fale miłości tak głębokiej, że przypominają się przedziwne słowa Salomonowej „Pieśni nad pieśniami": „Miłość mocna jest jako śmierć, twarda jako grób zawistna miłość; węgle jej jako węgle ogniste i jako płomień gwałtowny".

Tak, tak... Taka to miłość opływała nas potężnym, lecz zawsze czystym nurtem, gdy rozwierały się przed nami karty „Misteryj", „Pana" i „Wiktorji". To nie minęło, to żyje... „Miłość jest mocna, jako śmierć, twarda jako grób zawistna miłość"...

Ale dzisiaj chcę mówić o czem innem. Przez te długie lata, które minęły od pierwszych zachwytów pierwszego mego zetknięcia się z Hamsunem, życie zmieniło się tak bardzo. Jesteśmy dziś „błyskawicami, pośpiesznymi ludźmi teraźniejszości". Ale „błyskawica jest właściwie niczem, błyśnięciem bezużytecznem". „Człowiek naszych czasów wierzy święcie w to, czego dzisiejsze czasy go nauczyły, czego nauczyli go żyd i yankes". Ale Hamsun się nie zmienił. „Oczy jego widzą codziennie dokoła góry niebieskie; nie są to góry zmyślone, lecz góry stare, czcigodne, które wznoszą się od prawieków, ale które stały mu się odwiecznymi towarzyszami". Góry jego ziemi, i mojej, i twojej góry ziemi wszystkich, którzy mieli szczęście czytać jego arcydzieło, cudowną epopeję o „Błogosławieństwie ziemi".

Bohaterem tej powieści jest, jakby powiedział Norwid, „człowiek wieczny". Można by go nawet nazwać człowiekiem biblijnym (czy nie dlatego nosi on patrjarchalne imię: Izaak?).

My wszyscy jesteśmy „chorzy i zwarjowani, nie pracujemy, pługa nie znamy, a znamy tylko hazard". Żyjemy lękiem, „lękiem strasznym, który pot z czoła wyciska". „Wszyscy popełniamy ten błąd, że nie chcemy kroczyć razem z życiem, że chcemy życie wyprzedzić i pędzimy, jak opętani. A gdy się zagalopujemy, wtedy już nie znajdujemy drogi wyjścia, wtedy następuje nieuchronne rozbicie".

Hamsun to wie, ale wie również, że mimo wszystko „życia nie powinno się osądzać surowo i nieubłaganie, a przeciwnie, powinno się odnosić do niego z uczuciem miłosierdzia i bronić go". Więc go broni... Są w niem wartości niezmienne. Tych wartości nas uczy w „Błogosławieństwie ziemi". Uczy, jak „kroczyć razem z niebem i ziemią, z niebem i ziemią stanowić jednię". Jakby w myśl głębokiego przykazania Prusa o miłości „Boga, ziemi i prostego człowieka" rozsnuwa przed naszemi oczyma pełny mądrej, patrjarchalnej treści żywot chłopa norweskiego, który Pustkowiu bezpłodnemu nadaje przez nieustanną, cierpliwą pracę sens najistotniejszy trwałości i rozwoju.

—„Nie wszyscy są na świecie niezbędni — mówi on do syna Izaaka, dziedzica jego mienia, ale przedewszystkiem jego pracy, — ale wy jesteście niezbędni z całą pewnością. Wy podtrzymujecie życie. U was jedno pokolenie idzie w ślad za pokoleniem poprzedniem; gdy jedno skona, następne zajmuje jego miejsce. W tem mieści się sens wieczności. I jakąż wzamian macie nagrodę? Bytowanie w prawie nieskazitelnem i nieskazitelnej sprawiedliwości, bytowanie w prawdziwej i szczerej postawie w stosunku do wszystkiego. I cóż więcej macie? Macie spokój, i moc, i potęgę, otoczeni jesteście zewsząd ogromem przyjaźni".

Taki jest dzisiaj Hamsun — i taki jest sens jego starości. I on, jak Izaak, przez wszystkie lata swego życia karczował, zaorywał, zasiewał odłogiem leżące pustkowia duszy własnej i swego pokolenia. I on, jak Izaak, w prastarych lasach swej ojczyzny spotykał się z Bogiem i szatanem, i on uderzał na szatana imieniem Jezusa. I zdobył wreszcie ten spokój, ten sam spokój, jaki Izaak zawdzięczał niewątpliwie niebu. A może i tym — tak wielbionym przez naszego Norwida — „aniołom pokornej pracy".

W siedemdziesiątą rocznicę urodzin wielkiego pisarza, chciałbym zachęcić wszystkich do przeczytania tej cudownej książki. Ci, co się śpieszą, pożerani przez ambicję, jak i ci, co znużeni zawodami, ustali w drodze życia, straciwszy z oczu cel podróży — wszyscy znajdą w niej ukojenie i napój krzepiący. A ci, co ją już raz przeczytali, niech wrócą do niej jeszcze: na szczytach górskich powietrze jest czyste i wraca zdrowie oddychającym niem płucom. A zdrowia tego tak nam dziś potrzeba.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Konferencja w Bazylei.

Na konferencji w Bazylei, zwołanej przez Zarząd europejskiej centrali pomocy Kościołom na 23 i 24 VIII. r. b., postanowiono w obecności 73 przedstawicieli rozmaitych Kościołów ewangelickich i instytucyj kościelnych akcję pomocy, zapoczątkowaną w roku 1922, kontynuować jeszcze na przeciąg lat pięciu. W ciągu ubiegłych lat siedmiu prawie wszystkie Kościoły ewangelickie europejskie w mniejszej lub większaj mierze były przez centralę materjalnie wspomagane. Najwydatniejszą jednak pomoc okazano kościołowi ewangelickiemu w Niemczech. Na przyszłość będzie centrala europejska ofiary nepływające z Ameryki, a także z Szwajcarji, Anglji i Holandji, przeznaczała na subsydjowanie instytucyj kościelno-finfantropijnych (przytułki dla sierot, starców i kalek i t. d.) i udzielanie stypendjów dla studentów teologji ewangelickiej. Ruch ewangelizacyjny we Wschodniej Małopolsce, Czechosłowacji i Rumunji będzie również możliwie wydatnie przez centralę popierany. W celu zwiększenia środków na popieranie akcji kościelno-filantropijnej i ewangelizacyjnej postanowione zostało założenie Banku kredytowego, mającego udzielać potrzebującym pomomocy Kościołom i instytucjom kościelnym pożyczek na dogodnych warunkach spłat i o niskiem oprocentowaniu. Fundusze banku mają być zebrane przez sprzedaż udziałów i obligacyj bankowych. Siedzibą banku ma być Genewa, filje zaś jego i agentury powstać mają we wszystkich krajach.

* * *

Zjazdy młodzieży ewangelickiej na Śląsku Cieszyńskim.

Dowodem żywo rozwijającego się ruchu i skupiania się młodzieży ewangelickiej na Śląsku, są 2 zjazdy, z których pierwszy odbył się w Ustroniu od 13 — 15, a drugi od 20 — 22 lipca b. r. w Trzyńcu. Pokazały nam one wielki dorobek pracy organizacyjnej, która coraz piękniejsze przynosi owoce. Zjazd w Ustroniu zorganizowany został przez Związek Młodzieży Ewangelickiej Wojew. Śląskiego, który skupia 10 kół, liczących razem przeszło 600 członków. Zjazd rozpoczął się zebraniem delegatów wszystkich kół Związku oraz zaproszonych gości w liczbie około 60 osób. Po złożeniu sprawozdań z działalności Głównego Zarządu oraz poszczególnych kół dokonano nowych wyborów do Głównego Zarządu, a następnie poruszono najżywotniejsze sprawy, dotyczące życia młodzieży. Z pośród przyjętych wniosków i uchwał wymienić należy uchwałę, która poleca Zarządowi Głównemu wystąpić z żądaniem

do dyrekcji Polskiego Radja w Katowicach o nadawanie polskich nabożeństw ewangelickich przez radjo, następnie uchwalono polecić poszczególnym kołom powołanie stałych korespondentów, zalecono gorąco wszystkim kołom i poszczególnym członkom oszczędzanie i składanie oszczędności do ewang. banków. W następnym dniu Zjazdu t. zn. w niedzielę 14 lipca odbyło się w kościele ustrońskim uroczyste nabożeństwo, na którem ks. prof. Sikora z Cieszyna wypowiedział piękne kazanie do młodzieży, a następnie rozpoczęły się obrady Zjazdu, którym przewodniczył Ks. prof. Szeruda. Zebrani wysłuchali życzeń następujących delegatów: ks. prof. Trombika z Orłowej, który przemówił w imieniu Zrzeszenia Związków Młodzieży Ewang. po czeskiej stronie Śląska, ks. pastora Niemczyka z Krakowa, p. Kerpertówny ze Zw. Pol. Mł. Ew. w Łodzi, p. A. Schmidta prezesa Koła Studentów Ewang. „Filadelfja". Referaty wygłosili ks. senjor Kulisz na temat: Młodzież a Biblja i ks. Nierostek z Cieszyna na temat: Młodzież a sport, bez dyskusji. Po południu odbyła się uroczysta akademja chóralno - muzyczna, na której wystąpiły chóry poszczególnych kół oraz chór zbiorowy Związku pod batutą p. prof. Gawlasa z Katowic. Oprócz tego na program akademji złożyło się przemówienie ks. pastora Nikodema, gra organowa, jakoteż solo sopranowe i skrzypcowe. Akademja wykazała postęp w pielęgnowaniu pieśni religijnej w związkach młodzieży. W trzecim dniu uczestnicy zjazdu udali się na wspólną wycieczkę na Czantorję, gdzie na pięknych zabawach na świeżem powietrzu spędzili resztę miłych chwil.

Podobny przebieg miał i Zjazd w Trzyńcu, na Śląsku Czeskim. W sobotę 20 lipca obradowali w kościele trzynieckim delegaci, reprezentujący 13 związków i koło 700 członków Zrzeszenia Związków Ewang. Młodzieży. Z pośród gości witano ze szczególną serdecznością delegację słowacką. Uchwalono polecić związkom poszczególnym wzajemne odwiedzanie się i urządzanie pewnych imprez wspólnemi siłami, następnie postanowiono urządzać wykłady o pracy wśród młodzieży i w szkółkach niedzielnych, wysłuchano dokładnego sprawozdania o stanie szkółek niedzielnych, postanowiono wysłać delegacje na kursa pracy w Zw. Młodzieży na Słowaczyznę i do Pol. Cieszyna. Uchwały te zatwierdzone zostały przez Zjazd w dniu następnym. Przedtem odbyło się nabożeństwo, które odprawił ks. pastor Nierostek z Cieszyna. Obradom Zjazdu przewodniczył ks. konsenjor Teper z Błędowic. Życzenia składali Dr. Jurkovic, sekretarz generalny Związków M. Ew. na Słowaczyźnie, ks. pastor Nierostek imieniem Związku Pol. Tow. i Zb. Ew., p. Schmidt w imieniu „Filadelfji", stud. teol. Karpecki w imieniu prezesa Związku Młodzieży Woj. Śl. ks. Nkodema oraz w imieniu koła Teologów Ewang. w Warszawie, wreszcie przemówił ks. pastor Wittenberg z Żyrardowa. Ks. prof. Sikora z Cieszyna wygłosił referat na temat: „Jaką korzyść ma młodzież, że należy do Związku Młodzieży Ewangel.". Drugi referat ks. pastora Buchwałdka „Młodzież a kwestja alkoholowa" z powodu braku czasu się nie odbył.

Popołudniu urządzono również akademję, którą zagaił ks. prof. Karol Trombik. Liczny udział starszego społeczeństwa i przyjaciół młodzieży świadczył o wielkiem zainteresowaniu się poczynaniami i życiem młodzieży, tej prawdziwej przyszłości narodu.

Ew. Pol.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc październik 1929 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 6.X .(19 N. po Trójcy Ś-tej). z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . — Ks. W. Semadeni.
2. Niedziela, dn. 13.X. (20 N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dn. 20.X. (21 N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
4. Niedziela, dn. 27.X. (22 N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. St. Skierski.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia M. S. Wojsk., Przejazd 10.

DRUKARNIA

MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH

WARSZAWA, PRZEJAZD 10

TELEFONY: 51-25, 272-51, 282-66.

DZIAŁY:

DRUKARNIA bogato zaopatrzona w czcionki. Maszyny pośpieszne. — Maszyna rotacyjna. — Stereotypja. — Linotypy.

▽▽▽▽

LITOGRAFJA: Maszyny najnowszego systemu do formatu 90×125. — Materjał pomocniczy.

▽▽▽▽

INTROLIGATORNIA: Najnowsze maszyny do falcowania, szycia nićmi i drutem. Duży wybór materjałów i ozdób do najwykwintniejszych robót w zakres introligatorstwa wchodzących.

▽▽▽▽

WARSZTATY MECHANICZNE: Urządzenia pierwszorzędne. Maszyny precyzyjne. Specjalna maszyna do ostrzenia noży introligatorskich do długości 1.60 m.

WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT Z WSZYSTKICH DZIAŁÓW PIERWSZORZĘDNE I SZYBKIE.